

MARCIN
MELLER
MIĘDZY WARIATAMI

opowieści terenowo-przygodowe

Redakcja
Konrad Nowacki

Korekta
Jadwiga Piller
Elżbieta Jaroszuć

Copyright © Marcin Meller, 2013
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013
Copyright © POLITYKA Sp. z o.o. S.K.A. 1996–2013
Copyright © NEWSWEEK
Wydawnictwo dziękuje tygodnikowi „Wprost”
za udostępnienie tekstów

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Skład i łamanie
Piotr Trzebiecki

Druk i oprawa
CPI Moravia Books s.r.o.

ISBN 978-83-64142-15-4

Dla Ani, która zna te historie na pamięć, i dla Gucia,
który będzie musiał ich wysłuchiwać. Bez Was nic.

Co to za książka?

„Nagrody raczej za nią żadnej nie dostanę, ale będzie się dobrze czytać w pociągu, łóżku i na plaży” – tak w pierwszym zdaniu przedstawiłem koncept *Między wariatami* Pawłowi Szwedowi, szefowi wydawnictwa Wielka Litera, a on chyba jeszcze oszołomiony nagrodą dla wydawcy roku, którą otrzymał na Warszawskich Targach Książki, od razu się zgodził. Znaczący powiedział, że wyda.

Cóż to więc za książka? Składają się na nią trzy rodzaje tekstów i opowieści.

Po pierwsze: reportaże z lat 90. Od chuligańskiej wyprawy z „pseudokibicami” Legii do Göteborga, przez Wojnę Ducha Świętego w Ugandzie, rock’n’roll na serbskich czołgach w byłej Jugosławii, seks w Iranie, świat prostych męskich wartości polskich ochroniarzy, nominowaną do nagród przypowieść o zasranej – w sensie: pokrytej kałem – Polsce, po odę do barów mlecznych i przygodowe historie z warszawskiego Festiwalu Młodzieży z 1955 roku. Podstawowym kryterium doboru było to, czy te historie dobrze się czyta po latach. Z żalem odrzuciłem parę ulubionych reportaży, ale utonęły już w odmętach zapomnianych zdarzeń i kontekstów. Te, które Państwu proponuję do lektury, zasługują według mnie na żywot dłuższy niż tygodniowy czy ile tam żyje tekst z gazety. Nawet w czasach internetu. Zwłaszcza w czasach internetu.

Po drugie: ulubione felietony z ostatnich lat.

Po trzecie: napisane latem 2013 opowieści od dziennikarskiej kuchni. Niekiedy jak w przypadku dopisku do reportażu *Przyjechała planeta małp* o wyjeździe do Göteborga, historia A.D. 2013 jest dłuższa od właściwego tekstu. To dygresyjne gawędy o tym, czego w reportażach się nie pisze: jak bez dokumentów i zgód przekroczyć linię frontu? Jak rozliczać delegacje ze stref wojny, gdzie nikt faktury VAT nie wystawia? Co robiłem w mundurze majora polskiego batalionu w byłej Jugosławii i dlaczego miałem jęczeć w karetce? Dlaczego mnie wzięli za asystenta generała? Dlaczego nie rozliczyli mi kartonu wódki? Jak kłamać przed urzędnikami satrapów i się w tych kłamstwach nie pogubić? Ale też opowieści o moim liceum, przyjaciółach i dlaczego w sumie zostałem dziennikarzem. Anegdoty zacne, mam nadzieję zabawne, pouczające, głupie i błahe, ale moje. A że to moja książka, to nikt mi ich nie wytnie.

Świadomie zdecydowałem się na połączenie tych trzech form. Są jak koła zębate; mają się wzajemnie napędzać. Opowieść *Serce zdrajcy* o południowoafrykańskim dziennikarzu Rianie Malanie, którą napisałem na podstawie jego autobiografii i opublikowałem w 1995 roku, tłumaczy wiele z tego, co piszę w felietonach w 2013. Dlatego znajduje się obok nich.

Tak naprawdę wszystkie teksty, które kładę przed Państwem, opowiadają jedną i bardzo prostą historię: jak żyć w tym świecie i nie zwariować. Żwawego przewracania kartek!

MM

Do ostatniej kropli krwi

W połowie maja 1992 roku miałem 23 i pół roku (to taki wiek, kiedy jeszcze liczy się połówki), siedziałem w samolocie z Moskwy do stolicy Armenii Erewania i byłem bardzo zdenerwowany. Chciałem jechać do Górskiego Karabachu, ale nie miałem kompletnie pojęcia jak. Jeszcze parę dni wcześniej do tej ormiańskiej enklawy na terytorium Azerbejdżanu można się było dostać z Armenii tylko helikopterem albo samolotem, o ile, rzecz jasna, Azerowie nie zestrzelili maszyny. Na początku maja, po dziewięciu miesiącach blokady, Ormianie uderzyli i przebili się do Armenii. Otwarta została droga życia przez terytorium Azerbejdżanu. Wiedziałem, że muszę mieć przepustkę z Komitetu Karabaskiego i na tym wyczerpywała się w sumie moja wiedza techniczna, jeśli chodzi o funkcjonowanie w strefie wojennej. Miałem też kontakt do miejscowego dziennikarza, który dostałem od Wojtka Jagielskiego z „Gazety Wyborczej”.

Współpasażer z samolotu zawiózł mnie do hotelu Erebuni, typowego, w założeniu eleganckiego, sowieckiego bloczyska. Dochodziła północ, ale nie chciało mi się spać. Zjechałem do piekielka. Na miejscu, w półmroku uśmiechnąłem się, przypominając sobie wszystkie podobne w duchu i stylu orbisowskie kurwidoly w późnym PRL-u. Tylko tu było bardziej depresyjnie. Nie dopiłem jeszcze wódki, kiedy zagadał mnie mały 40-letni człowieczek o ciepłym

uśmiechu i smutnych oczach, częsta kombinacja w Armenii, jak się miałem przekonać.

– Polak? – Norik, bo tak się nazywał, cały się rozpromienił. – Zapraszam na koniak! Nie piłeś takiego! – Szybka kalkulacja, czy nowy znajomy mnie okradnie, zabije, zgwałci, do wyboru, ale jakoś tak dobrze mu patrzyło z oczu, a ja tu kompletnie nikogo nie znałem. Zresztą jakoś przez wszystkie późniejsze lata na Kaukazie, w Afryce, byłej Jugosławii, w Iranie nigdy specjalnie mnie nie zawiódł wewnętrzny czujnik. – No dobra, Norik, pokaż ten koniak.

Przesiedzieliśmy nad nim do rana, a Norik, jak się okazało, milicjant z prowincji, opowiadał o historii swojego kraju. Przeglądał mój egzemplarz historii Armenii i opowiadał o każdej postaci z fotografii. Zastanawiałem się, czy posterunkowy z Zamojszczyzny byłby w stanie zrobić wykład o Moniuszce albo Kochanowskim. A tak miało być z niemal wszystkimi napotkanymi Ormianami. Najpierw krótki kurs historii, przede wszystkim nieszczęść, ze szczególnym uwzględnieniem tureckiej rzezi (z aktywnym kurdyjskim udziałem) w czasie I wojny światowej, kiedy zginęło i zmarło z głodu do półtora miliona Ormian, potem panteon bohaterów narodowych i na koniec słynni ludzie pochodzenia ormiańskiego. Na pierwszym miejscu zawsze Charles Aznavour. Wysoko Andre Agassi. Jak rozmowa z Polakiem, to Zbyszek Cybulski.

Najważniejsze, że Norik obiecał pomóc następnego dnia w Komitecie Karabaskim z załatwieniem przepustki. Na koniec poprosił, żebym przekazał pozdrowienia kapitanowi Klossowi, Stanisławowi Mikulskiemu, jego ulubionemu aktorowi. – A! I jeszcze Beacie Tyszkiewicz! Nadal taka piękna?

Norik dotrzymał słowa i w Komitecie poszło gładko. Kazali pozdrowić Wałęsę i dali przepustkę. Nie byli w stanie załatwić transportu, ale wtedy odezwał się siedzący pod ścianą mężczyzna, który przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Mam jutro jechać do Stepanakertu, ale nie mam na oponę. Jak kupisz, to mogę cię zabrać. – A ile

kosztuje? – 40 dolarów. – No to nie ma problemu, pajechali. – Dobrze, będę u ciebie w hotelu o 9 rano. Nazywam się Kamo.

Miałem jeszcze większość dnia przed sobą, Norikowi nie spieszyło się do domu, gdzie czekał go biedny dzień jak co dzień, a gość z zagranicy trafił mu się pierwszy raz w życiu. Zaproponował więc, że mnie oprowadzi po mieście. Erewań był po prostu brzydki. Niszczony w przeszłości trzęsieniami ziemi, zbudowany głównie za sowieckich czasów z tufu, skamieniałego popiołu wulkanicznego o ciemnoróżowym odcieniu. Ponury socrealizm bez charakteru, na różowo. Miasto otaczały posępne skaliste nieużytki, cała Armenia jest pełna wygasłych wulkanów, surowa, nieprzyjazna ludziom. Żadną z mych myśli oczywiście nie podzieliłem się z Norikiem.

Weszliśmy na wzgórze, gdzie znajdował się pomnik upamiętniający rzeź 1915 roku. „Widzisz, Marcin, powinien płonąć tu wieczny ogień, ale nie ma gazu, Azerowie zamknęli nam dopływ. Dostawaliśmy gaz także z Gruzji, ale Gruzinom kurek zakręcili Osetyjczycy”.

Ze wzgórza można było zobaczyć górę Ararat, najświętszy symbol Armenii. Tyle że Ararat, na którym miał się zatrzymać Noe, choć wydawał się tak blisko, że można go było dotknąć, leżał w Turcji. Jakby Bóg chciał dodatkowo pognać Ormian, jętrząc co dzień ich rany. Wieczorem znowu piliśmy na smutno.

Obudziło mnie walenie w drzwi; otworzyłem nieprzytomny, a do pokoju wpadł zdyszany oficer milicji i krzyknął: „Pakuj się!”. Spanikowany zastanawiałem się, o co chodzi, kiedy z opóźnionym zapłonem poznałem intruza: to Kamo z Komitetu Karabaskiego. Wczoraj był po cywilnemu. Okazało się, że jest naczelnikiem wydziału operacyjnego policji w Stepanakercie, a w Erewaniu był na przepustce. W ładzie przed hotelem czekali żona i syn. Opuścili Karabach samolotem w czasie blokady. Teraz wracali.

Niedaleko za Erewaniem skręciliśmy w boczną drogę. Główna była w zasięgu azerskich dział. Łada, popierdując, wspinała się nie szybciej niż 30 kilometrów na godzinę coraz wyżej, mijaliśmy kolejne

autobusy obwieszane ormiańskimi flagami, z uchodźcami wracającymi do domów w Karabachu, aż osiągnęliśmy pułap chmur. Po kilku godzinach dotarliśmy do granicy Armenii, którą od Karabachu oddzielało raptem pięć kilometrów w linii prostej. Dziurawą drogą było ze dwa razy tyle. Jeszcze kilkanaście dni wcześniej ten pas trzymali Azerowie. Teraz pozostały po nich zniszczone czołgi, transportery i spalone domy. Droga osuwała się w urwiska, z drugiej strony sypały się na nią głazy i kamienie. Zastanawiałem się, jak tędy w ogóle mogą jeździć ciężarówki. Zrozumiałem, gdy wracałem do Erewania potężnym kamazem. Przez większą część drogi po prostu nie otwierałem oczu. Kierowca pędził jak szalony – na tej drodze czterdziestka to już straceńcza prędkość – o centymetry mijając kilkudziesięciometrowe przepaści. I co jakiś czas sięgał pod siedzenie, skąd podnosił przybrudzoną butelkę z ciemnobursztynowym płynem w środku. Tak, pociągał z niej. Nie, to nie była herbata. Tak, to był koniak. I owszem, jak zaproponował, pociągnąłem równo.

Teraz jednak wjechaliśmy do Łaczina, jeszcze do niedawna 10-tysięcznego azerskiego miasteczka. Po mieszkańcach zostały rozprute materace, rozrzucone miski i tyle. Na ścianach zdobywcy wymalowali białe krzyże. Następna na trasie, jeszcze do niedawna kilkunastotysięczna Szusza, a przed wiekiem centrum życia Kaukazu, wedle niektórych drugie, zaraz po Tbilisi, pospołu zamieszkałe przez Azerów i Ormian, straszyla teraz wypalonymi oczodołami okien. Trudno było uwierzyć, że ledwie sto lat wcześniej tłum się kłębił na jej uliczkach, w kawiarniach i na wielkim krytym bazarze. Ale nawet opuszczona była zjawiskowa, zawieszona na skałach ponad Stepanakertem, który był jeszcze nieistotną wioską, kiedy Szusza przeżywała dni świetności. Miesiącami Azerowie ostrzeliwali z niej położony w dole Stepanakert, waląc jak do tarczy strzelniczej. Aż do 9 maja, kiedy ormiańskie czołgi i piechota wzięły miasto w ofensywie prawie niemożliwej, cały czas pod górę. „Sami sobie urządziliśmy dzień zwycięstwa” – zaśmiał się Kamo. Część obroń-

ców Ormianie wymordowali (czego by oczywiście nie przyznali, ale to zasada każdej wojny), reszta wraz z cywilami uciekła.

Wieczorem zasiedliśmy w Stepanakercie w altance domu. Kamo i jego kuzyni, stary Żora i młody Ararat, uczyli mnie rozróżniać dźwięki. Rozległ się pojedynczy, suchy trzask, ułało mi się ze szklanki, rozejrzałem się wokół, byłem jedyny, który się wzdrygnął, nawet 4-letni Kazen, syn Kama, nie przerwał zabawy. „To armata – wyjaśnił Żora – seria, taka trochę świszcząca, to grad, wyrzutnia rakietowa, a jak słyszysz najpierw jakby burzę to miotacz min. O! Walnęli gdzieś niedaleko”. Ktoś przyniósł koniak w plastikowej butelce po oranżadzie. Zaczęły się długie, często kilkuminutowe toasty, za tych, którzy zginęli, za chłopców w górach, za Karabach, za Armenię, za pokój, za człowieczeństwo, za powodzenie mojej wyprawy. Przyzwyczajony do powściągliwej nadwiślańskiej szkoły w stylu „chluśnięm, bo uśnięm!”, biorąc nawet poprawkę na wyjątkowy czas zabijania, byłem pod olbrzymim wrażeniem kwiecistości tych przemów. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co potrafią wykonać – czy wojna, czy pokój – mistrzowie gatunku, Gruzini.

Ostrzał nie cichł ani na chwilę. Niebo raz po raz rozświeślały potężne błyski, po których rozlegał się huk. Zasnąłem nad ranem.

Następnego dnia pojechałem do sztabu sił samoobrony, czyli ormiańskiego dowództwa wojskowego. Szukałem Serża Sarkisjana, przedstawiciela Rady Najwyższej Republiki Górskiego Karabachu, który mógł mnie skierować do fedainów udających się w rejon walk. Po latach Sarkisjan zostanie ministrem obrony Armenii, a w 2008 wygra wybory prezydenckie. Ale teraz przyszedł przywódca państwa był całkiem kontaktowym 36-latkim i natychmiast obiecał pomóc.

Sztab mieścił się w dawnej stacji obsługi samochodów pod Stepanakertem; brzydki sowiecki klocek, wiele szyb powybijanych. Na placu stała kolejka mężczyzn zgłaszających się do oddziałów. Przyjeżdżały i odjeżdżały rozklekotane ciężarówki z fedainami. W końcu pojawił się Sarkisjan i wskazał mi zylastego 30-latka. – To Wito,

komendant okręgu askerańskiego, tam teraz toczą się ciężkie walki. Spytaj go, czy cię zabierze. – Wito przyjrzał się nieufnie mojej twarzy cherubinka (wtedy jeszcze) i blond loczkom, strzyknął śliną i powiedział: – Chłopie, w Askeranie Azerowie napierdalają miotaczami min, gradem i chuj wie czym jeszcze. Co ja zrobię, jak cię trafią? Do nieba ci spieszo? – Odpowiedziałem, że jak nas trafią, to wszyscy razem pójdziemy do nieba, nie będzie więc miał czym się przejmować. Wito się zaśmiał. – No dobra, sam tego chciałeś. Jedziemy.

Wito miał bardzo efektowny mundur w ciapki, skórzaną kamizelkę, której nie powstydziliby się Jean-Claude Van Damme, a na nogach baletki. Tak po prostu. Nawet tramppek dla ormiańskiego komendanta nie starczyło. Niektórzy jego żołnierze musieli uszyć mundury ze starych worków, ale rekompensowali to sobie, narzucając na uniform takie ilości taśm z amunicją, że wzbudziliby zazdrość samego Chucka Connorsa. Na plecach białe krzyże z taśmy samoprzylepnej – znak, że są chrześcijanami (walczyli przecież z muzułmańskimi Azerami, „Turkami”, jak ich nazywali), na piersi znaczki ze zdjęciami poległych braci, ojców, synów, przyjaciół.

Załadowaliśmy się w trójkę – dołączył jeszcze 19-letni Marat – do zdezelowanego UAZ-a i ruszyliśmy do wioski, gdzie zbierali się fedaini przed pójściem na pierwszą linię. Była pusta, mieszkańców ewakuowano, gdyż znajdowała się w zasięgu azerskiego ostrzału. Ulicą śmigały plastikowe torebki, nie szczekały nawet psy, co sprawiało razem dosyć upiorne wrażenie. Ale na jednym z podwórz, za metalową bramą, czekał czołg, dwa wozy pancerne i kilkudziesięciu fedainów ćmiących papierosy. Byli młodzi, bardzo młodzi. Najmłodszy Edik miał 16 lat.

Myślałem o Ediku, o tym, co się z nim stanie, czy jeszcze żyje, kiedy kilka tygodni później w Erewaniu rozmawiałem z 15-letnim Rubenem. Pochodził z Karaczinazu, 12-tysięcznej ormiańskiej osady z regionu Szahumian na północy Karabachu. Miał 13 lat, kiedy zaczęły się walki. Razem z kolegami wybiegał w nocy, żeby oglą-

dać smugi świetlne latających pocisków, nie zdając sobie sprawy, że któryś mógłby go zabić. Dopiero gdy Azerowie trafili w piętro jego domu, a rodzina przeniosła się na parter, zrozumiał, co to takiego wojna. Jego ojciec, nie chcąc, żeby Ruben szwendał się z kolegami po lasach, zaczął zabierać go na posterunek. Z czasem Ruben sam stanął na warcie. Nauczył się czyścić broń. Kiedy miał 14 lat, zaczął strzelać. – Bronilem swojej ziemi – tłumaczył. Miesiąc przed moim przyjazdem rodzice wysłali go do Erewania, żeby odpoczął. Wtedy do miasta Szahumian weszły czołgi dawnej 4. Armii Radzieckiej, stacjonującej w Azerbejdżanie, a teraz walczącej razem z Azerami przeciwko Ormianom.

Rosyjscy czołgiści powiedzieli mieszkańcom, żeby natychmiast uciekali, bo za godzinę wejdą Azerowie i zaczną się rzeź. Do dzieci i kobiet Rosjanie nie strzelali, zajęci byli oczyszczaniem terenu z fedainów. Przyjaciół Rubena („on już był dorosły, miał 16 lat”) zginął z kałasznikowem w rękę, broniąc swego domu. Kobiety płakały i krzyczały: „Jesteście chrześcijanami, tak jak i my! Dlaczego walcycie z muzułmanami przeciw nam? Dlatego, że wam płacą?”. Rosjanie milczeli. Po pół godzinie weszli Azerowie. Kto nie uciekł, ten zginął. Babci Rubena poderżnęli gardło. Jego rodzice uciekali przez las. Na jego skraju stali Azerowie i strzelali jak popadnie. Gdy nie było już dokąd uciec, ludzie skakali w przepaść. Matki najpierw rzucały dzieci, potem skakały same. Rodzicom Rubena udało się. Po trzech dobach marszu góorskimi ścieżkami dotarli do Stepanakertu. Ruben o tym nie wiedział. Byłem z nim w mieszkaniu w Erewaniu, kiedy weszli jego rodzice. Nic nie mówili. Ojciec trzymał w ramionach syna i obydwa płakali.

Kilka tygodni później w stolicy Azerbejdżanu Baku byłem na zbiorowym pogrzebie azerskich ofiar z Karabachu. Poznani na nim ludzie zabrali mnie do domu na herbatę i ciasto i opowiadali o masakrze w Chodżałach. Trzy miesiące wcześniej, w nocy z 25 na 26 lutego, ormiańskie oddziały zdobyły to miasteczko, a następnie

wymordowały ponad sześciuset mieszkańców, w tym – jak zawsze przy takich okazjach – kobiety i dzieci. I to ze szczególnym okrucieństwem. Data ataku raczej nie była przypadkowa, wypadła niemal równo w czwartą rocznicę pogromu w Sumgaicie, gdzie z kolei Azerowie mordowali Ormian. Ta masakra była preludium wojny o Karabach i symbolicznym początkiem rozpadu Związku Radzieckiego.

Ale teraz siedzieliśmy pod Stepanakertem i czekaliśmy na decyzję Wita, który poszedł na naradę z innymi komendantami. Co tak długo? – A, gadają o polityce. My nie lubimy polityki. – A co lubicie? Ogólny śmiech. – Strzelać lubimy! Amerykański antropolog William McNeill zauważył związany ze zjawiskiem wojny paradoks: ucieczka od wolności bywa często prawdziwym wyzwoleniem, zwłaszcza dla młodych ludzi, żyjących w szybko zmieniającej się rzeczywistości, którzy nie zapewnili jeszcze sobie dorosłych ról w społeczeństwie. Opinia McNeilla skłoniła Johna Keegana, wybitnego brytyjskiego historyka wojskowości, do posłużenia się kalamburem: „infantylnizm” i „piechota” (po angielsku *infantry*) mogą mieć wspólne korzenie.

Naszą rozmowę przerwała wypakowana fedainami ciężarówka, która gwałtownie zajechała na podwórze. Wracali, a raczej uciekali z Askeranu, do którego mieliśmy jechać, gdzie natknęli się na azerskie czy właściwie rosyjskie czołgi. Chaotyczne krzyki przerwał Wito. – Jedziemy. Spojrzał na mnie i dodał: – Chciałeś wojny, to będziesz miał. Wskakuj do BMP. W tym momencie zacząłem się naprawdę bać. W środku było nas czterech i jeszcze nieosłonięta piątka na wozie. Przed nami jechał czołg, na którym siedziało dziesięciu, dwunastu fedainów, a za nami jeszcze jeden BMP.

Wjechaliśmy do położonego w dolinie Askeranu, opustoszałego jak wszystkie przyfrontowe miejscowości. Gdzieś pomiędzy domami kryły się tylko okopane ormiańskie posterunki. Z gór po prawej stronie ostrzeliwali je Azerowie. Właściwie zza gór, tam znajdowały

się stanowiska armat i tych najgroźniejszych, gradów. Na szczytach siedzieli „piloci” z lornetkami i prowadzali ogień.

Obserwowałem przez wizjer roztrzaskane obejścia, kiedy nagle usłyszałem potworny huk. I następny. Wóz gwałtownie zahamował. Wszyscy zaczęli na raz krzyczeć, ci, co siedzieli na górze, już zeskakowali. 19-letni Tigram, z którym dzieliłem wnętrze wozu, ryczał, przekrzykując warkot silnika: – Strzelają do nas! I kolejny huk, gdzieś tuż obok. – Wyskakujemy! Na lewą stronę i pod BMP! Tylko, kurwa, szybko, bo ustrzelą nas na wozie!

Łatwo powiedzieć: szybko! Cały się trząsłem, panika fizycznie mnie dusiła, ubranie zawadzałem o wszystkie pieprzone wihajstry wewnątrz. Już miałem wychylić się na zewnątrz, kiedy Tigram wrzasnął: – Bierz kałasznikowa! Leżał pod nogami, wziąłem, nie zastanawiając się, co robię. I do góry. I głowa już na zewnątrz. Trafią? Nie trafią? Ciało ważyło tonę. I jeszcze ten cholerny kałasznikow dyndający absurdalnie na plecach. Dach był śliski, zaczął padać deszcz i ledwie postawiłem na nim niezdarnie nogę, poleciałem na twarz. Na szczęście na właściwą stronę. Szybko przeczołgałem się do rowu obok, gdzie za chwilę była już cała nasza czwórka ze środka wozu. Piątka z góry znikła właśnie za wzgórzem, nasz czołg i drugi BMP również.

Zostaliśmy sami, pod ostrzałem, z wozem pancernym nie do użytku, ostatnia eksplozja rozwalila gąsienicę. Leżeliśmy w błocie, w ulewnym już teraz deszczu, wiedząc, że musimy uciekać, bo ostrzał trwał i było kwestią czasu, kiedy kolejny pocisk rozerwie nas na strzępy. Raczej wcześniej niż później. Meller, ty debilu, pomyślałem, po jakiego grzyba pchałeś się w to miejsce i na tą wojnę, jakie idiotyczne wzdęcia dziennikarskiego ego kazały ci się znaleźć w tym błocie? Pamiętam, że w tym momencie, w tym huku kano-nady, kiedy moi kompani gwałtownie się kłócili o strategię wyjścia z gówna, solennie obiecywałem sobie: nigdy więcej. Jeśli się stąd wydostanę żywy i w jednym kawałku, nigdy, przenigdy więcej nie

pozwolę sobie na taką sztubacką głupotę. Naprawdę w to wierzyłem. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że kilka tygodni później będę biegać z Gruzinami pod osetyjskim ostrzałem, chyba dałbym mu w mordę.

Ale teraz chłopcy doszli do porozumienia i Tigram pokazał linię drzew wzdłuż drogi w stronę Stepanakertu. – Biegniemy pod nimi! Już miałem się zbierać, kiedy złapał mnie za ramię i spojrzał na położonego przeze mnie na ziemi kałasznikowa. – A to to co? – Tigram, na litość boską, przecież ja jestem dziennikarzem, nie mogę nosić broni! – Job twaju mat! Myślisz, że Azerowie będą cię pytać, jak się z nimi zderzymy? Bierz, i to już!

Od razu wyjaśniam: nie musiałem strzelać, nie użyłem broni. W tym momencie czułem się strasznie, ale co miałem robić? Tigram miał rację. To nie była wojna, gdzie dziennikarze chodzą w kamizelkach z wielkim napisem „Press”. Tu, po pierwsze, prawie żadnych dziennikarzy nie było, spotkałem jednego przez tydzień w Karabachu, Olega, fotografa z Moskwy. A i ubrany byłem jak fedaini. Moja blond grzywa raczej nie stanowiła tarczy ochronnej pod tytułem „Cześć, jestem reporterem z Polski, w razie starcia proszę łaskawie do mnie nie strzelać”. Zarzuciłem broń na ramię.

I pobieглиśmy pod tymi drzewami. I płuca rwały, jakby ktoś je kłuł rozpalonymi szpikulcami. I wywaliłem się na mordę. I pode-rwałem się resztką sił. I drzewa się skończyły. I było pole zboża dzielące nas od wzgórza, za którym już były ormiańskie posterunki w rozwalonych chałupach i w miarę, z naciskiem na „w miarę”, bezpiecznie.

Ale Tigram zaklął. – Co jest Tigram? Otóż było to, że Ormianie położyli miny na tym polu, tylko moi towarzysze nie wiedzieli gdzie. Czyli za nami strzelający Azerowie, przed nami własne pole minowe. Bosko. – No dobra – Tigram już podjął decyzję – biegniemy przez pole i niech Bóg ma nas w swej opiece. – To ja biegnę trzeci – rzuciłem. Kalkulacja była szybka i niezbyt szlachetna. Jak

pierwszy wyleci na minie, może nie dostanę odłamkiem. Ostatni najłatwiej może dostać od snajpera w plecy. W sumie gówniana kalkulacja, ale na inną jakoś nie było czasu i miejsca.

To był kilometr, chyba nie więcej, mnie się wydawał dłuższy niż maraton. Miałem wrażenie, że biegnę w zwolnionym tempie, jak po Księżycu. Charczałem. Ale dobiegliśmy. Moim kolegom wrócił humor: – No i jak, Polak? Podobało się? Fajnie na wojnie, co?

Na podwórzu domostwa, które pełniło rolę posterunku, stała wielka beczka z kurkiem u dołu. Gospodarz, bezzębny nieogolony dziadek wyglądający na siedemdziesiątkę z okładem (pewnie miał dwadzieścia mniej), popatrzył na mnie drżącego jak osika i uśmiechnął się zapraszająco: – Najlepszy karabaski koniak. Sami robiliśmy. Chyba ci się przyda. Nie zawracałem sobie głowy kurkiem i sięgnąłem po zawieszoną na beczce chochlę. Piłem jak wodę i biorąc pod uwagę ilość, powinienem się urznąć i paść, ale tylko się uspokoiłem, a mój umysł, by zacytować przyszłego klasyka, był jak brzytwa.

Zapadała już noc i było zbyt niebezpiecznie, by próbować wracać do odległego o 15 kilometrów Stepanakertu. Mimo że nasza kryjówka była w zasięgu ostrzału, z dwojga złego lepiej było zostać. Zасыpiając w izbie z kilkunastoma równie jak ja śmierdzącymi mężczyznami, myślałem o warszawskim placu Zamkowym w ten późny maj, o zbierających się na nim pięknych dziewczynach i moich kumplach, którzy pewnie właśnie teraz ruszają na łowy.

Następnego dnia, idąc ulicą Stepanakertu, usłyszałem wśród dobiegających z przedmieść eksplozji dźwięk fortepianu. Dobiegał z na pół zrujnowanego domu. Na jego pierwszym piętrze – dziury po pociskach w suficie i ścianach – siedziały dwie nauczycielki i trzynastoletnia uczennica. – Ten fortepian broni nas przed powrotem do kamienia łupanego. Uczymy, żeby nie oszaleć do końca.

Krajina wojny i rock'n'rolla

Siedzimy w kawiarence, kiedy pada strzał. W pierwszej chwili nikt nie zwraca uwagi. Ale widzę zamieszanie za oknem, więc wychodzę na ulicę. W kałuży krwi leży dwudziestoletni chłopak. Właśnie strzelił sobie w głowę. Pęka szyba w drzwiach stłuczona ręką przez brata samobójcy, który jak oszalały wypada z kawiarni. „Dlaczego?” – pytam. Ludzie wzruszają ramionami: *rat* – wojna. To jedno słowo wszystko tłumaczy. Chłopcy i dziewczęta rozchodzą się do innych kafejek. Nad czym tu rozprawiać? *Rat*. Jutro mogą zginąć na froncie albo od zabłąkanego pocisku armatniego.

Republika Serbskiej Krajiny (RSK). Na samo wspomnienie tej nazwy podnosi się poziom adrenaliny każdego Chorwata: „To integralna część Chorwacji, okupowana przez serbskich agresorów!”.

RSK ma własną telewizję. Uwagę gościa wchodzącego do jej budynku przykuwają dwa plakaty. Pierwszy przedstawia umundurowanego mężczyznę ze swastyką na ramieniu i pistoletem w dłoni, który wychyla się zza flagi Unii Europejskiej. Podpis: *Ready for de(utsch)mocracy*. Drugi afisz zawiera jedynie klarowne przesłanie: „Nie deptajcie trawy, palcie ją!”. Z pobliskich pokoi dobiega ostra rockowa muzyka, w jej rytm kołyszą się prawosławne medaliki na piersiach dziennikarzy. Witamy w Krajinie wojny, rock'n'rolla i prawosławia. Ta mieszanka zaskakiwała mnie każdego dnia: święci sprzed wieków i gitarowe riffy Nirvany, legendarni serbscy wład-

cy i żołnierze wracający z pola walki, którzy wystukują rytmy Sex Pistols na swych kałasznikowach. Modlący się w skupieniu komandos, którzy w czasie przepustek z frontu grają w zespołach rockowych czy też może w czasie przerw między nagraniami i koncertami walczą na pierwszej linii. Biznesmeni w średnim wieku, którzy znają na pamięć młodzieżowe przeboje.

Na pogrzeb Coko Srdžana przyszedł cały Knin, zjechały okoliczne wioski; kilka tysięcy ludzi, od przedszkolaków do emerytów. Srdžan współzakładał zespół Mindžuszari i napisał jego największe przeboje. *Mindžuszari* oznacza facetów, którzy noszą kolczyki, trochę podejrzanych koleś. Kiedy wybuchła wojna z Chorwatami, wiele dzieciaków z bogatych rodzin wyjechało z Krajiny do nowej Jugosławii bądź na Zachód, by przeczekać niebezpieczne czasy. Tacy jak Srdžan, „młodzi ludzie sprawiający problemy”, niepokorni, z nastroszonymi fryzurami, w wytartych skórach i z kolczykami, nie mieli za co i dokąd uciekać. Przede wszystkim zaś nie chcieli.

„Z przekory nie chcę uciekać, chcę zostać / bracia i siostry zrozummy się, my nie potrafimy przegrywać / nie wyskoczmy ze swojej skóry / idziemy naprzód, nie cofniemy się / dla Krajiny i dla Serbii idę do końca / nie ma we mnie strachu, nic mi się nie może stać”.

Kilku takich dwudziestolatków równocześnie zakładało Mindžuszari i paramilitarne nieformalne grupy samoobrony. Jedna z nich stała się z czasem elitarnym II dalmatyńskim oddziałem do zadań specjalnych krajńskiego MSW. Oddział ten ze względu na jednego ze swych żołnierzy, Coko Srdžana właśnie, zwany był po prostu „Mindžuszari”. „Kolczykowców” kierowano na szczególnie zagrożone pozycje, tam gdzie padało morale zwyczajnych żołnierzy.

Modlitwę znają wszyscy. Nucił ją przy mnie sześćioletni Aleksandar i profesor zagrzebskiego uniwersytetu (przed wojną). Srdžan powtarzał zawsze, że gdyby „coś” mu się przytrafiło, niechaj koledzy z zespołu zaśpiewają mu ją nad grobem.

„Modłę się, aby to wszystko się skończyło / modłę się za lepsze dni / niech ta moja modlitwa będzie przekleństwem dla wroga / nadchodzi trzecia jesień, trzeci rok wojny / a w moich myślach przewijały się obrazy przodków / nie mogłem o tym wszystkim nawet śnić / nie mogłem tego przewidzieć / o Panie! czy słyszysz mnie? uroń lżę nad nami / o Panie! niech to będzie modlitwa, aby skończyły się te straszne dni / niech to będzie modlitwa za wszystkie nasze rany / niech ta moja modlitwa będzie przekleństwem dla wroga”.

Kiedy 1 maja Chorwaci zaatakowali krajińską enklawę w zachodniej Sławonii, Srdżan skrzyknął się z kolegami z oddziału, „pożyczyci” od wojsk ONZ-owskich kilka samochodów i ruszyli na front. Coko zginął następnego dnia. Przyjaciele próbowali wypełnić obietnicę i zaśpiewać mu *Modlitwę* nad grobem. Nie byli w stanie dokończyć. Twardziele w panterkach płakali tak jak pozostałych kilka tysięcy ludzi.

Knin sestro, Knin

Dijana ma 25 lat i mieszka w Kninie, czyli według terminologii chorwackiej, tak zwanej stolicy tak zwanej Republiki Serbskiej Krajiny. Już bez „tzw.” należałoby dodać za Chorwatami, że Dijana plasuje się gdzieś pomiędzy głupkiem, bydłem i mordercą, co razem wzięte oznacza, że jest Serbką, więcej i gorzej: krajińską Serbką.

Siostra Dijany poślubiła Chorwata (przed wojną, rzecz jasna) i teraz z nim mieszka w Zadarze. Z Knina do Zadaru jest wszystkiego 70 kilometrów. Nawet biorąc pod uwagę wąskie i kręte górskie drogi, to trasę tę można pokonać w godzinę z małym hakiem. Dziś mogą to potwierdzić tylko „błękitne hełmy” i zagraniczni dziennikarze, ponieważ w połowie drogi przecina ją linia frontu. Żaden Serb ani Chorwat nie przejedzie.

Ale siostry są siostrami, chcą się zobaczyć. Zadzwoić nie mogą: między Chorwacją i nową Jugosławią (do której centrali jest podłączona Krajina) przerwano łącza telefoniczne.

Siostry kochają się, więc jakiś czas temu Zdenka z Zadaru wybrała się do Dijany z Knina. Pamiętamy: to 70 kilometrów szosą. Zdenka najpierw udała się do Zagrzebia. Przez Węgry wjechała do nowej Jugosławii. Dwa dni czekała, aż zostanie otwarty korytarz posawiński, kilkukilometrowy przesmyk łączący Serbów w Jugosławii z rodakami w Bośni i Krajinie (korytarz jest pod ciągłym ostrzałem Muzułmanów i Chorwatów). Potem był już tylko skok do Banja Luki, kilkugodzinna jazda do Knina i uściski z Dijaną. Raptem 1300 kilometrów.

Ojciec Slavicy był architektem w Zadarze. Budował miasto. Zaczęła się chorwacka niepodległość i usłyszał „won!”. W Krajinie został artylerzystą. Ostrzeliwał Zadar. Bombardował i niszczył domy, które budował. Jego córka była wówczas jeszcze w mieście. Straciła już pracę, sąsiedzi pluli jej pod nogi, ojciec słał pociski. Nie bała się. Cieszył ją każdy wybuch. Jej chłopak, Chorwat, przyszedł któregoś dnia i powiedział, że jest ustaszem. Trzeba wybić wszystkich Serbów, dodał. Slavica uznała, że to już za dużo, że to koniec. Uciekła do Knina.

„Zjechałem wszystkie obce kraje / i w końcu wróciłem do domu / aby mi serce mocniej biło / i abym mógł uścisnąć ręce przyjaciółom / teraz znów słońce mnie rozgrzewa / zapach czereśni budzi mnie każdego ranka / i znowu moje są szalone dni / pełne muzyki, wierszy i romantyzmu / Knin, siostró, Knin, to wszystko, czego mi trzeba / Knin, siostró, Knin, od ziemi aż do nieba”.

26-letnia Tatiana studiowała pedagogikę w Belgradzie. Przez rok mieszkała i dobrze zarabiała w Grecji, włóczyła się po Europie. Kilka miesięcy temu wróciła do swego rodzinnego miasta, do Knina. Mówi o sobie, że jest kosmopolitką i nie obchodzi jej polityka. Ale teraz jest wojna, w której jej naród bije się zupełnie osamotniony.

Kraj rodzinny Tani walczy o przetrwanie, musiała wrócić, właśnie dlatego, to proste. Tym bardziej że coraz więcej ludzi ucieka. Nie wytrzymują toczącej się od czterech lat wojny, przypiętej łatki rene-gatów Europy, zwyczajnej nędzy. Wyjeżdżają, więc Tania wraca. Na przekór. Jak Mindžuszari.

Żyją ludzie prawostawni

– Powiedz mi – pyta – dlaczego wszyscy są przeciwko nam? Dlaczego nikt w Europie nie chce pamiętać, co Chorwaci robili w czasie II wojny? Przecież Serbowie z Krajiny tego właśnie się boją.

Dobre pytanie, no właśnie, dlaczego? Chorwaci, nie krępując się zbyt, powracają do symboliki Niezależnego Państwa Chorwackiego (NDH), marionetkowego tworu Hitlera, którego NDH było wręcz nadgorliwym sojusznikiem. Oficjalnym pieniądzem jest kuna, którą wprowadzono po raz pierwszy właśnie w NDH. Ambasadorem w Argentynie został mianowany pan Rojnica, były komendant obozu zagłady w rejonie Dubrownika, w którym chorwaccy ustasze wymordowali 700 tysięcy Serbów, Żydów i Cyganów. W 1945 roku Rojnica, wymieniany na alianckich listach zbrodniarzy wojennych, uciekł do Ameryki Południowej. Dziś mówi, że Chorwaci powinni dokończyć dzieło, które rozpoczęli w 1941 roku.

Posel, a do niedawna szef wydziału politycznego chorwackiego MSZ, antropolog z zamiłowania, wykazuje, że czaszki Serbów różnią się od tych chorwackich, ma się rozumieć doskonalszych rasowo.

I wszystko jest w porządku.

Kto pamięta, że prezydent Tudjman, odznaczony właśnie dziewięcioma najwyższymi odznaczeniami państwowymi, dochodził do władzy pod hasłami Chorwacji dla Chorwatów? Zaraz po ogłoszeniu niepodległości parlament w Zagrzebiu pozbawił Serbów statusu narodu konstytucyjnego i zepchnął do roli czwartorzędnej mniej-

szości na ziemiach, które zamieszkiwali od wieków. Wtedy Serbowie postawili pierwsze barykady.

„Dawno temu toczyły się wojny / ale jednak żyją ludzie prawosławni / i wszystkie, wszystkie, wszystkie siły świata / nie mogą nas zwyciężyć / matki rodziły bojowników / i flaga z czterema „S” (Samo sloga Srbina spasava – tylko zgoda ratuje Serbów) / niech zabrzmie ta pieśń / to jest mój kraj / moja świecąca gwiazda / to jest mój kraj, moja Krajina / w tym kraju będziemy mieszkać / i tutaj umrzemy”.

Z Chorwatami – nigdy więcej razem, powtarzają krajińscy Serbowie. Każda rozmowa zaczyna się od przypomnienia Jasenovaca i zbrodni chorwackich sojuszników Hitlera. – 39 osób z mojej rodziny zginęło w czasie II wojny, w czasie tej już dziewięć. Dosyć. Rozdzielmy się raz na zawsze – mówi Milan, dawniej popularny aktor w Zagrzebiu.

– Mój ojciec walczył z Chorwatami, ja z nimi walczę; nie chcę, żeby spotkało to Aleksandra – przedsiębiorca Mirko wskazuje na swego sześciolatniego syna, który domaga się kolejnej partii chińczyka. Kwaśno się uśmiechając, dodaje: – Jak Chorwaci zaatakowali zachodnią Sławonię, to NATO ich nie bombardowało; pewnie z braku paliwa?

Serbowie nie zgodzą się nawet na formalną władzę Zagrzebia, Chorwaci nie odpuszczą części terytorium swego państwa. Ile to może trwać? – Choćby i sto lat. Jesteśmy wystarczająco twardzi – mówi śliczna 24-letnia Sandra, która uciekła z chorwackiego Szybeniku. – Kiedy rok temu Jugosławia pod wpływem Zachodu nałożyła na nas embargo i odcięła dostawy, mówiono, że nie przetrwamy miesiąca. Minął rok, a my walczymy.

– Niech przyjdą – mówi Mirko – będziemy walczyć do końca. Mam w domu kałasznikowa, drugiego kupiłem ojcu. Tu każdy mężczyzna ma broń i nic do stracenia.

Któregoś dnia zaszedłem na wsi do starego gospodarza, by kupić flaszkę pędzonej przez niego rakii. Poszliśmy do „magazynu”

w stodole, a tam jak żywe działo przeciwlotnicze. – A tak – zaśmiał się bimbrownik – jak ustasze nadlatują, to wytaczam na podwórko. Moja stara i zięć pomagają. – A potraficie jeszcze trafić, dziadku? – spytałem. Tak się obruszył, że aż wylał chochlę śliwownicy na klepisko. – W ustaszy zawsze, synku.

Czarne dni

„Nie ma już zdrajców generałów / nie ma już tych szakali / nie ma już »naprzód«, a potem »stój« / nadchodzą dla was czarne dni / teraz rusza w bój cały naród mój / rusza armia najsilniejsza na świecie / rusza armia by się mścić / raz na zawsze wszystkich was zgniecie / jesteście zbyt biedni i żałośni / będziecie jeszcze bardziej spragnieni i głodni / ciągle lecieć będą na was »orkany« / wasza piękna Chorwacja stanie się cmentarzem”.

W zachodniej Sławonii było jednak na odwrót. 32-godzinny chorwacki blitzkrieg wywołał szok u krajińskich Serbów. Racjonalnie skądinąd tłumaczenia o kilkakrotnej przewadze liczebnej Chorwatów nie zmieniły faktu, że oto zachwiała się, jeśli nie runęła, wiara w niezwyciężoną siłę serbskiego oręża. Co gorsza, mimo nieustannego powtarzania zaklęć o jedności wszystkich Serbów, rodacy z Bośni i nowej Jugosławii nie kiwnęli palcem.

Jakiś czas temu chorwacki minister obrony Gojko Šušak powiedział publicznie: – Chorwacja odzyska część Krajiny w dwudniowym blitzkriegu. ONZ i międzynarodowa opinia publiczna poprzesaną na słownej krytyce, a Belgrad ograniczy się do pojedynczego oświadczenia. Minister miał rację, a Serbowie zdruzgotani największą klęską w tej wojnie zaczęli swoim zwyczajem klócić się i szukać winnych.

– 15 dni minęło od agresji na zachodnią Sławonię, a władze nic nie zrobiły, nie ogłoszono nawet żałoby. To rząd zdrajców, należy

go traktować jak zbrodniarzy wojennych! – grzmiał mundurowy mówca na kilkutysięcznym wiecu protestacyjnym, zorganizowanym przez związki zawodowe w Kninie, i pomachał w powietrzu pistoletem, jakby wskazując, co należy zrobić z rządem zdrajców.

Głos z tłumu: – A kiedyś ty mundur założył?!

Mówca przeszedł do piętnowania tych, co uciekli z kraju.

Głos z tłumu: – Szuka cię policja wojskowa za uchylanie się od służby!

Wszyscy zgodnie domagali się zjednoczenia z Republiką Serbską w Bośni i wybrania wspólnego prezydenta: Radovana Karadžicia.

Zebrani pomstowali na dyrektora telewizji, który zaraz po chorwackim ataku wysłał swoją rodzinę do nowej Jugosławii, zaopatrując się uprzednio w 800 litrów praktycznie niedostępnej na legalnym rynku benzyny.

Jest dobrze

„Stoisz tu na ulicy, z twarzy nie schodzi ci uśmiech / zapraszam cię do siebie / tej nocy już nie będę sam / nie chcę znać twojego znaku, imienia ani adresu / teraz milcz i całuj mnie, świat się kręci powolutku / dobrze jest, moja mała, dobrze jest, gdy leżysz obok mnie / zbliża się świt, patrzę, jak cienie tańczą na twojej twarzy / i czuję, że życie jest piękne / zapomnij o brzydkim świecie / i mówię hej! muszę poznać twój znak, twoje imię i twój adres”.

W sobotni wieczór główna ulica Knina wypełnia się tłumem młodych ludzi. Zewsząd dobiega muzyka, śmiechy, krzyki. Można by na chwilę zapomnieć o wojnie, gdyby nie to, że większość mężczyzn jest w mundurach, często z przewieszoną bronią. No i strzały, ot tak, w powietrze, z radości, smutku, dla zabawy albo dlatego, że jakiś dzieciak wyblagał u starszego brata malutką seryjkę na wiwat. Prawie nikt nie ma pieniędzy, więc trudno mówić o rozpasanej kon-

sumpcji. Najwięcej chyba piją młode dziewczyny, których narzeczeni są na froncie. Czasem ktoś wrzuci granat do lokalu, o którego właścicielu wiadomo, że uchyla się od wojska, robiąc interesy na wojnie.

Siedziałem z Bibą, do niedawna piłkarzem miejscowego klubu, a dziś właścicielem modnej kawiarenki, pociągałem rakię w jego miłej knajpcie, kiedy zabił się ten dwudziestoletni chłopak. Telewizor nastawiony był na program chorwacki, ale bez dźwięku, bo z magnetofonu leciało Mindžuszari. Kiedy ludzie się rozeszli od samobójcy, my z Bibą wróciliśmy do jego kawiarni. Patrzył smętnie na stłuczone szkło. Naprawa będzie drogo kosztować. Ten chłopak, który zbił szybę, pewnie przyjdzie następnego dnia i przeprosi. I co? I nic. Siedzimy znów nad rakią w pustej salce, obok zaśmiewa się miejscowy Głupi Jasio, którego Biba żywi w zamian za sprzątanie. – Jeszcze kilka lat tej wojny i wszyscy będziemy tacy jak on – rzuca Biba.

Z Bogiem, Serbio

Chorwaci pogonili Serbów, Serbowie Chorwatów. Opuszczone domostwa metodycznie wysadzano w powietrze. Tak na wszelki wypadek. Gdyby nawet odwróciło się koło fortuny, to wypędzeni i tak nie będą mieli do czego wrócić. Czasem dom oszczędzono, ale założono w nim pułapki: na przykład granat umocowany na klamce. Człowiek otworzy takie drzwi i już po człowieku. Jeśli nie ma granatu, to może się okazać, że pozornie porzucona zabawka jest paskudną miną. Nigdy nie wiadomo.

W Krajinie są całe wsie-widma. Kiedyś mieszkali tu Chorwaci. Zostały ruiny i położone nie wiadomo gdzie miny. Nie zapomnę chwil, kiedy Serbowie, z którymi jechałem samochodem, zgubili drogę w takiej okolicy. Ciche przekleństwa sączyły się z ust kierowcy, wgapialiśmy się w drogę i parliśmy do przodu. Polny trakt był

za wąski na zawrócenie, a manewry na porośniętym trawą poboczu mogły się okazać ostatnią czynnością, jaką przyszło nam w życiu wykonać.

Trafiają się i pokaźne wille, z których nawet nie wszystko rozszabrowano. W jednej z nich, jak mnie zapewniono – „bezpiecznej” – znalazłem w ogólnej perzynie „złote myśli” chorwackiej dziewczyny imieniem Zdravka. To było bardzo dziwne uczucie. Pamiętam doskonale, jak moją podstawówkę ogarnęło to szaleństwo: trzeba było wpisywać do opasłych zeszytów: imię, nazwisko, datę urodzenia, ulubiony kolor, kraj, hobby, itd. itd., ale najważniejsze były „inicjały sympatii”. Ileż nerwów człowiek zjadł, zanim dopadł czyjeś „złote myśli”, do których właśnie wpisała się Ta jedyna lub Ten jedyny.

Zdravka jest (była? czy żyje?) moją rówieśniczką, rocznik 1968. Wpisy pochodzą z 1984 roku. Jej sympatią był Vladimir, poznany na zabawie w Slunju, rocznik 1962. Kierowany niezdrową ciekawością i czując się po trosze, jakbym odkrywał zatopioną Atlantyde, zacząłem przetrząsać stopy nadpalonych pozostałości w willi.

1987! Vladimir pisze do Zdravki z Niemiec. Romantyczna papieteria w różyczki. „Kocham Cię jedyna moja, i będę Cię kochał do końca świata. I love you!!!”. Kolejne poszukiwania, i bingo! Książeczka czekowa banku lublańskiego z 1989 roku, wystawiona na małżeństwo Vladimira i Zdravki. Ostatnie gazety z sierpnia 1991 roku.

Obowiązkową rubryką „złotych myśli” było pytanie o ulubiony zespół muzyczny. Numerem jeden Zdravki była Riblja Čorba i jej lider Bora Djordjević, nie tylko świetny muzyk i barwna, niepokorna osobowość, ale również człowiek o dużej odwadze cywilnej. Jeszcze za życia Josipa Broz Tito Riblja Čorba nagrała piosenkę *Al Capone*. Jakoś tak się złożyło, że nikt z ówczesnych słuchaczy tekstu nie odnosił utworu do amerykańskiego gangstera.

Jeżeli ta dziewczyna żyje, ciekawe, co by powiedziała dzisiaj o Djordjeviću? „Ta nacjonalistyczna świnią! Brudny spragniony

krwi czetnik! Wstydzę się, że w liceum był moim ulubionym piosenkarzem”. Djordjević pomógł na starcie Mindžuszari, bardzo często przyjeżdża do Krajiny, ale jego największym „grzechem” są teksty piosenek, które teraz pisze, a które krajińscy Serbowie znają niczym pacierz.

„Zostałem sam na górze, patrzę na Sawę / ciskam do wody duszę i młodość / zwycięzca patrzy z Kalemegdanu (wzgórza w Belgradzie, na którym znajduje się grób nieznanego żołnierza z czasów II wojny światowej) / a ja jestem żołnierzem i mięsem armatnim / z Bogiem Serbio, z Bogiem... / pojęcia nie mam, czy uda mi się wrócić / czy może głową przyjdzie mi zapłacić / wyrównam wszystkie swoje rachunki / kiedy tylko dostanę się na nowy sremski front (w 1945 roku, w ciągu trzech miesięcy walk z hitlerowcami, zginęło tam 13 tysięcy partyzantów, głównie Serbów) / z Bogiem Serbio, z Bogiem... / odchodzę, żeby strzelać i ginąć / by cudze głowy ścinać, o Serbio, Serbio! / odchodzę, więc z Bogiem i cześć! / a Tobie mogę powiedzieć Serbio / z Bogiem, z Bogiem...”.

Tuż przed wybuchem wojny Franjo Tudjman prowadził tajne rozmowy z duchowym przywódcą krajińskich Serbów, nieżyjącym już dziś Jovanem Raškovićem. Chorwaci złamali umowę i opublikowali stenogram negocjacji. Chodziło o skompromitowanie Raškovicia, który powiedział, że Serbowie są narodem szalonym, zwariowanym. Po części zamysł Tudjmana się powiódł. Superpatrioci serbscy oburzyli się okrutnie, pozycja Raškovicia uległa osłabieniu (co akurat w dłuższej perspektywie okazało się dla Chorwatów katastrofą, gdyż człowiek, którego starali się skompromitować, był o niebo bardziej umiarkowany od swych następców).

Gdy pytam Petara Popovicia, czołowego dziennikarza radia Knin, jacy są Serbowie, ten patrzy na mnie zdziwiony: – Jak to jacy? Szaleni. Święte słowa świętej pamięci Raškovicia. Jak ten dziadek w Bośni, który oczekując kolejnego bombardowania NATO, wymalował białą farbą na dachu swego domu gigantyczne *Fuck you!*

– Najodważniejsi ludzie, jakich znam, i najgorsi dyplomaci na świecie – mówi wyższy urzędnik Sił Ochronnych Organizacji Narodów Zjednoczonych (UNPROFOR) w Kninie, zastrzegając sobie anonimowość, zważywszy, że jego poglądy odbiegają od tych głoszonych przez szefów w Zagrzebiu i Nowym Jorku. – Przecież gdyby rozgrywali swą partię subtelniej, to mogliby dogadać się z Francuzami i Anglikami, którzy doskonale widzą, jak Niemcy prowadzą kolejną ekspansję na Bałkanach, tylko że tym razem nie wysyłając własnych dywizji, a jedynie pomagając swym przyjaciółom Chorwatom i pośrednio Muzułmanom. Serbowie nie potrafią nauczyć się od Chorwatów i Muzułmanów, że polityka polega na bezustannym zapewnianiu o swoim przywiązaniu do pokoju i robieniu w praktyce czegoś zupełnie przeciwnego. Nie, oni muszą walić między oczy, że będą walczyć z całym światem.

– Jasne – mówi Petar. – Pieprzyć cały świat. I tak wygramy.

PS. Kilka miesięcy później wojska chorwackie w wyniku kolejnej błyskawicznej ofensywy, zajęły całą Krajinę, wypędzając setki tysięcy jej serbskich mieszkańców z domu i z kraju.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1995/23.

Cudza wojna

Tutaj zdarza się, że najtwardsi żołnierze płaczą po kilku dniach ostrzału artyleryjskiego. Tutaj jest i tak, że do polskiego żołnierza podskakuje zbir w panterce, przystawia mu pistolet do głowy i pociąga za spust. Po chwili długiej jak wieczność okazuje się, że broń nie jest naładowana. Taki lokalny żarcik. Tutaj byle miejscowy pijany gnojek może przytknąć kałacha do piersi zastępcy dowódcy batalionu.

– Mojej babie niczego nie opowiadam, po co ma się denerwować. A tu jest normalna wojna – mówi Radek z Jeleniej Góry, w cywilu kierowca MPK.

Podpułkownik Wojciech Aksamit, zastępca dowódcy polskiego batalionu, brał udział w wielu polskich misjach – w Egipcie, na wzgórzach Golan, na pograniczu iracko-irańskim, w Zatoce Perskiej, w Libanie. – To wszystko były niewinne igraszki w porównaniu z tym, co dzieje się w Krajinie. Tu nie ma żadnych reguł.

– Kiedy nasz żołnierz chce sprawdzić zawartość serbskiej ciężarówki, a kierowca przeładowuje kałacha, przystawia broń do skroni 19-letniemu chłopakowi i mówi „spierdalaj”, to wtedy nie ma Butrosa Ghalego, Akashiego, Clintona ani mądrych dziennikarzy – dodaje podpułkownik Marek Olbrycht, szef sztabu Polbatu.

W administracji ONZ-owskiej Krajina dzieli się na dwa sektory – północny (tu między innymi służą Polacy) i południowy. Ser-

bów i Chorwatów oddziela szeroka na dwa kilometry tzw. strefa separacji, zwana po prostu strefą. Rozlokowane w niej Błękitne Hełmy narażone są na niekontrolowany ostrzał jednych i drugich (mimo obowiązującego zawieszenia broni).

W sektorze północnym znajdują się cztery przejścia z Chorwacji na stronę serbską. Gdy 1 maja opuszczałem Zagrzeb, otwarte było tylko jedno, w Mošćenicy. Kiedy nasz konwój dotarł na *crossing*, okazało się, że 15 minut wcześniej Chorwaci ostrzelali posterunek Serbów. Ci ostatni twierdzili, że mają 12 zabitych i 16 rannych. Chcieli, żeby ich zawieźć naszymi samochodami, a tego Błękitnym Hełmom robić nie wolno. W każdym razie położyli minę na szosie. Nie pozostało nic innego, jak zawrócić do Zagrzebia.

Przejechaliśmy dopiero następnego dnia sporadycznie używanym przejściem w Vojnovacu, które kontrolują Polacy. Jest to w tej chwili jedyny czynny *crossing* (w zależności od sytuacji i humoru obu stron konfliktu) na kilkuset kilometrach – ni to na granicy, ni linii frontu dzielącej Chorwatów i krajnińskich Serbów.

– Co tu jest do opowiadania? Normalka – krygują się żołnierze z posterunku numer 63 w wiosce Bogovolja.

Jak wygląda normalka w Krajinie? W piątek 28 kwietnia o świcie Serbowie przyszlizli na posterunek 63. „Będziemy wysadzać most” – powiedzieli. Most jest położony o kilkanaście metrów od białych worków z piaskiem, otaczających stanowiska naszych żołnierzy. Serbskie wojniki dały Polakom 15 minut na opuszczenie posterunku. Żołnierze zostawili wszystkie swoje rzeczy. Brali tylko broń, amunicję i kamizelki kuloodporne. Eksplozję było słyszeć w promieniu wielu kilometrów. Podmuch zdemolował posterunek, niszcząc kompletnie mały magazyn i barak sanitarny. Sam most mimo użycia 300 kg trotylu jednak się nie zawalił. Źle założono ładunki.

W dwa dni później (kibelek już naprawiono) scena się powtórzyła. Serbowie przyszlizli o drugiej po południu i ponownie zostawili 15 minut na ewakuację. Tym razem wystarczyło 100 kg tro-

tylu. Barak sanitarny znowu diabli wzięli, ale i mostu już nie ma. Kilometr dalej jest bród. Duże samochody ciężarowe ryją w błocie. Tam akurat Serbowie nie wysadzili mostu, tylko zdjęli jedno prześło. Teraz polscy saperzy próbują zbudować kładkę na wysokości brodu. Piszę „próbują”, bo żeby w ogóle pojechać w stronę posterunku 63., muszą mieć specjalną przepustkę serbskiego dowództwa. Teoretycznie Polakom powinny wystarczyć ich błękitne karty identyfikacyjne, ale w każdej chwili może się okazać, że jakikolwiek z kilkuset serbskich punktów kontrolnych w rejonie działania Polbatu okazuje się dla Polaków nieprzejezdny i nie ma dyskusji – trzeba zawracać.

Od 6 maja wszystkie konwoje ONZ-owskie (a według Serbów konwój to choćby jeden samochód) muszą mieć pisemną zgodę na poruszanie się w regionie. – Czasami bierze człowieka prawdziwa cholera – jeży się polski oficer – przecież to oni chcieli ONZ czy nie? Na samą wzmiankę o naszej ewakuacji dostają szału... Jesteśmy dla nich tarczami ochronnymi.

Droga na trzecią kompanię wiodła wąziutkim asfaltem kręcącym się w górach przypominających nasze Bieszczady. Co jakiś czas drogę zajeżdżała serbska ciężarówka. Mój kierowca zjeżdżał na pobocze. Miałem w pamięci dyrektywę ONZ w sprawie min. Szczególnie ostrzegano przed poboczami asfaltowych dróg. Czy takie zjeżdżanie jest bezpieczne? – pytałem naiwnie szofera. – Chuj wie – odpowiedział rzeczowo.

Trzy miesiące temu kapitan Cezary Marciniak, zastępca dowódcy 3. kompanii, dowiedział się, że Serbowie zaminowali drogę koło 25. posterunku, która w myśl uzgodnień powinna pozostać czysta. Przyjechali saperzy, żeby zorientować się w sytuacji. Na szosie przed polem minowym stała barykada. Sto metrów dalej minęli trzy miny przeciwpancerne. Saperzy mieli zrobić swoje.

Nikt nie zauważył odciągów (żyłek zwalniających zapalniki). Kapitan Marciniak nie zdążył paść. Dostał trzy odłamki. Zdołał

jeszcze tylko dojść do samochodu. Odwieziono go do kompanii, a stamtąd helikopterem do szpitala wojskowego w Zagrzebiu, gdzie amerykańscy lekarze pokroili go od szyi po pępek. Po dwóch tygodniach wrócił do swojego oddziału.

Sami Serbowie nie znają wszystkich założonych przez siebie pól minowych. Kładli jak popadło, nie zawsze mają plany. Niedawno jeden chłop wyleciał w powietrze na własnym podwórku. Zapomniał o minie.

Czasem i przepustka z serbskiego dowództwa nie pomaga. 6 maja kapitan Paweł Chabiera, zastępca dowódcy 6. kompanii, udał się na podległe mu posterunki (w tym wspomniany 63. w Bogovoli), by wręczyć żołnierzom okolicznościowe medale za 6 miesięcy służby w Krajinie. Z powodu blokady nie mogli przyjechać na skromną ceremonię do Maljevaca, siedziby dowództwa kompanii. Tarpan Chabierzy ruszył okrężną drogą, ponieważ bezpośredni szlak został niedawno zaminowany. Towarzyszył mu lekarz i dwóch żołnierzy. Mieli przepustkę.

– Około trzeciej po południu zobaczyłem z tarasu sztabu Polbatu trzy wozy pancerne Serbów zdążające z łoskotem w kierunku Bogovoli – mówi pułkownik Olbrycht. Okazało się, że piąty korpus bośniackiej armii rządowej, którą od krajnińskich Serbów oddziela między innymi 6. kompania kapitana Chabierzy, wykorzystał koncentrację wojsk serbskich na granicy z Chorwacją i zaatakował osłabione pozycje wroga.

– Chabiera znalazł się w złym miejscu i w złym czasie – mówi Olbrycht. Tuż po pierwszej dowództwo straciło z nim kontakt radiowy. Żołnierze z posterunku 631. widzieli, jak jego tarpan został zatrzymany przez kilkunastu serbskich wojników. Polacy stali przez kilka minut z rękami uniesionymi do góry, a następnie zostali zapakowani do samochodu i wywiezieni w nieznanym kierunku.

W ślad za Chabierą pojechało dwóch oficerów ze sztabu. Na drugim szlabanie usłyszeli, żeby czym prędzej zabierali się do Slunja.

Chabiera jest na przesłuchaniu, a sama sprawa wygląda bardzo poważnie.

Rozpoczęły się rozmowy z lokalnym dowództwem serbskim. Po kilku godzinach serbski pułkownik przywiózł Polaków. Bohaterowie mieli wyraźną ochotę na głębokiego kielicha, ale mesa oficerska była jeszcze zamknięta.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy jechali z posterunku 631. na 63., Bośniacy z 5. korpusu ostrzelali pozycje serbskie położone nieopodal polskich posterunków. Serbowie myśleli, że Polacy wydali Bośniakom ich pozycje albo że 5. korpus zajął już ONZ-owski posterunek 631. Wpadli w panikę i zatrzymali tarpana. Serbów było około 20. – Chłopcy nawet nie mrugnęli okiem, tylko od razu złapali za broń – mówi kapitan. – Kazałem im odłożyć broń. Sytuacja była bez szans, a Serbowie w stanie hysterii, jeszcze chwila i pociągnęliby za spusty. Piotr Garba, lekarz 6. kompanii, mówi, że nieprędko zapomni chwilę, kiedy jeden z wojników zaproponował kolegom: – Bijemy doktora?

Jeśli ktoś pomyśli, że opisywane wypadki będą długo rozpamiętywane w Polbacie – popełnia błąd. Już po wysadzeniu mostu koło posterunku 63., a przed przygodą kapitana Chabierę, w czasie walk bośniacko-serbskich został kompletnie zniszczony posterunek 42. Na szczęście załoga została ewakuowana, zanim na baraki spadły wystrzelone z czołgów pociski.

Podpułkownik Aksamit, zastępca dowódcy Polbatu, przeżył trzy tygodnie temu gorące chwile z załadowanym kałasznikowem przytkniętym do piersi, kiedy Serbowie zażądali zmiany rejestracji jego pojazdu (w myśl nowego ONZ-owskiego mandatu na jego samochodzie widniał napis UNCRO CROATIA w miejsce starego UNPROFOR, co Serbów doprowadziło do furii).

– Chorwaci z jednej, Muzułmanie z drugiej, Abdić (sprzymierzony z Serbami muzułmański watażka wojujący z rządowym sarajewskim 5. korpusem bośniackim) z trzeciej. Serbowie pomiędzy,

my pośrodku tego całego burdelu. Byle woda była – komentuje sytuację jeden z podchorążych.

Ale nawet spełnienie tego życzenia nie jest takie proste. Poszczególne kompanie, a jest ich sześć, muszą kombinować na własną rękę. Byłem akurat w 6. kompanii. Z terenu powrócił jej szef. Sierżant Edward Kapuśniak był – delikatnie rzecz określając – mocno zdenerwowany. Dotychczas 6. kompania brała wodę z Velikiej Kladuży, ale tam była wyłączona energia. W Slunju, gdzie mieści się sztab Polbatu, również nie było wody. U Serbów sytuacja podobna. Trzeba pojechać do Grabovaca, do 4. kompanii położonej na drugim końcu terytorium Polbatu. A jeśli Serbowie zamkną dojazd, tak jak to się stało 10 maja, w chwili, kiedy piszę te słowa?

Wiele polskich pozycji jest prawie kompletnie izolowanych. Do położonych w górach posterunków 307. i 310. przejazd jest teraz dozwolony tylko raz w tygodniu. Więc kilku dwudziestoletnich chłopców, którzy tam siedzą, może liczyć tylko na siebie. W czasie kolejnych blokad, które w Polbacie są czymś tak normalnym, że nie warto tu nawet o nich wspominać, niektóre posterunki były odcięte od świata przez wiele tygodni.

Zdarzało się, że ich załogi żywiła okoliczna ludność, Serbowie i Chorwaci pospołu. Ze względu na trudno dostępne położenie, na niektórych posterunkach nie ustawiono nawet prymitywnych baraków. Żołnierze mieszkają w namiotach, a prowiant trzeba często dostarczać na plecach.

W Polbacie przyjęto mnie życzliwie, ale z daleko posuniętą nieufnością. Pułkownik Zdzisław Goral, dowódca batalionu, zgadzał się na projektowane przeze mnie eskapady, ale cały czas mogłem wyczuć pewien dystans. W końcu jeden z podoficerów powiedział: – Jest pan ostatnim dziennikarzem, któremu zaufamy.

W tej chwili Polbat kojarzy się w kraju głównie ze śmiercią kaprała Moszyńskiego. Krążą wieści o pijaństwie i ciemnych interesach polskich żołnierzy.

Przez Polbat przewinęło się blisko trzy tysiące żołnierzy. Co oznacza kilkanaście incydentów w miejscu, gdzie każdego dnia można stracić życie? Gdzie całymi tygodniami młodzi chłopcy, zamiast chodzić na dyskoteki w Brzegu, Opolu czy Wrocławiu, znajdują się pod ogniem artyleryjskim Chorwatów, Serbów, Muzułmanów. Gdzie strach wejść na wieżyczkę wartowniczą, bo bywa, że jest przecinana serią z kalasznikowów. Gdzie 19-latek widzi wyprute flaki swego dowódcy, który nieopatrznie zrobił jeden krok za daleko i wyleciał na minie. Gdzie syn dowiaduje się o śmierci matki, chłopak o zdradzie dziewczyny, ojciec o chorobie dziecka – i nic nie mogą na to poradzić, bo ich posterunki są zablokowane od wielu dni. Gdzie trzeba się mocno pilnować, żeby nie zwariować, gdy ogląda się całymi dniami te same trzysta metrów kwadratowych otoczonych białymi workami z piaskiem.

Dziennikarzy tygodnika „Wprost” zatrwożyło, iż „żołnierze często korzystają z najprymitywniejszych rozrywek także dlatego, że wojsko nie dba o wypełnienie im czasu wolnego”. Podpułkownik Olbrycht często powtarza, że w wojsku liczy się sukces, panienki i gorzła. O sukcesie można zapomnieć. Byłe zapruty rakiją serbski czy chorwacki wojnik może wydać polecenie całemu konwojowi Błękitnych Hełmów. – Jeśli w Warszawie podejdziesz pijany żul z klamką (pistoletem) i zagrozi pana żonie i dziecku, a ma pan przy sobie spluwę i pan z niej wystrzeli, każdy sąd pana wybroni. A tutaj? Powinien pan jeszcze przeprosić łobuza. ONZ na dobrą sprawę nic tu nie może.

W Krajinie również panienki odpadają. Nie ma okazji. Co najwyżej można sobie powiesić w baraku zdjęcia z „Playboya” czy „Cats”. – Jak na posterunku nie widzę na ścianie gołych panienek, to dopiero zaczynam się denerwować, że trafiłem na jakichś nienormalnych – komentuje Olbrycht.

Jakie więc rozrywki ma zapewnić wojsko w izolowanych kompaniach, plutonach i posterunkach? Są miejsca, gdzie nie ma nawet wideo czy telewizora kupionego za zrzutkowe pieniądze. Gdy sie-

dzę z żołnierzami na posterunku, wystawiając się na promienie słoneczka, mógłbym zapomnieć o wojnie.

– Brakuje tylko parasoli i byłyby wakacje, a wyjdiesz 10 metrów za worki z piaskiem i rozerwie cię na minie – śmieje się kapral Piotrek.

Żołnierze jeżdżą co 5–6 tygodni na urlop do kraju i wtedy mogą szaleć. W Krajinie powinni tylko pamiętać, jak powtarza swoim żołnierzom kapitan Chabiera, że to nie ich wojna i że mają przeżyć.

Cóż jeszcze można powiedzieć? Mógłbym przywołać przypadki z innych batalionów, przy których Polbat wyda się ochronką dla niemowląt. Lepiej jednak będzie, jeśli powołam się na panią doktor Anjali V. Patil, szefową cywilnego pionu ONZ, której podlega teren zajmowany przez Polaków. Według niej Polbat jest jednym z najlepszych ONZ-owskich batalionów w całej Krajinie, a kto wie, czy nie najlepszym.

Wielu żołnierzy, z którymi rozmawiałem, wychwalało Tadeusza Rocławskiego, lekarza 6. kompanii, skądinąd komandora podporucznika (siedem lat na morzu, w tym rok na łodzi podwodnej). Jeden z oficerów powiedział o nim kilka słów, w których zawarta jest dla mnie prawda o Polbacie: – Jeśli Tadek miał stu rannych, potrafił wyselekcjonować dwudziestu, którym pomoc i tak na nic się nie zda. Resztę próbował ratować za wszelką cenę.

Zimą zeszłego roku wojska Fikreta Abdicia uległy ofensywie 5. korpusu. Na terenach monitorowanych przez Polaków rozlała się fala kilkudziesięciu tysięcy uchodźców, 1. i 6. kompania zmieniły się w instytucje charytatywne. Nie było pomocy z Czerwonego Krzyża ani od Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców. Walki trwały w najlepsze. Serbowie ustawiali stanowiska czołgowe i artyleryjskie tuż za polskimi pozycjami. Pociski wybuchały koło 6. kompanii (a jeden nawet na jej dziedzińcu), ale, jak opowiada jeden z oficerów sztabowych, „mieliśmy już to kompletnie w dupie. Siedzieliśmy w mesie lub barakach i słuchaliśmy muzycki”.

– Wtedy po raz pierwszy w życiu widziałem noworodki z ranami postrzałowymi – opowiada Rocławski – zużyłem cały zapas leków. Nie zostało nic dla naszych żołnierzy. Kiedy przynosiłem środki przeciwbólowe uchodźcom, czułem się jak ksiądz rozdający komunię. Kierowcy z naszej kompanii służyli za sanitariuszy.

Któregoś dnia Rocławski siedział w kompanijnej karetce, kiedy przyszło dziecko, a jeden z Serbów wcisnął rękę z zaciśniętym granatem i powiedział, że jeśli go polski lekarz nie opatrzy, wysadzi cały interes w powietrze.

Rocławski jest jedynym lekarzem w promieniu 30 kilometrów, więc tłumnie wałą do niego okoliczni Serbowie. Ani on, ani jego dowódcy nigdy nie odmawiali pomocy. Na katolickie Święta Wielkanocne jeden z prawosławnych pacjentów przyniósł do 6. kompanii własnoręcznie zrobione pisanki.

Nikt nie mówi, że Polbat jest ideałem. Mógłbym przywołać słowa sierżanta Kapuśniaka, szefa 6. kompanii: „Raju na ziemi za chuja nie będzie”. Tłumacząc to na język powszechnie stosowany, miało oznaczać, że polscy żołnierze i tak nie dokonają cudu w Krajinie, nie zakończą brudnej wojny. Mogą jedynie pomóc na tyle, ile mogą. Czyli prawie wcale.

Kiedy pytałem żołnierzy na szczególnie oddalonych i zagrożonych posterunkach, co jest gorsze – cisza i nuda czy kulenie się pod ostrzałem, śmiali się: – Pewnie, że lepiej, kiedy się napieprzają, przynajmniej nikt nam nie robi kontroli.

Żołnierze nie cierpią inspekcji ze sztabu w Slunju. Jeszcze gorsze są dla nich naloty z Polski. – Przyczepiają się do wszystkiego – nieodkładnie wyczyszczonych butów i innych dupereli. Każda nowa zmiana kadry stara się tu wprowadzić dryl, a jak zaczniesz się strzelanie na ostro, to wtedy jesteście dla kadry kumple.

– To nie do końca tak – mówi podpułkownik Aksamit, przywoływany przez wielu żołnierzy jako pozytywny przykład oficera, który nie boi się jeździć na posterunki, kiedy jest naprawdę gorąco.

– W czasie walk mamy często zakaz opuszczania sztabu. Żołnierze na swoich pozycjach odbierają naszą nieobecność jako dowód strachu. Ale jest też faktem, że dla niektórych sztabowców taka sytuacja stanowi wygodny pretekst, żeby nie ruszać się ze Słunja.

Specyfika jugosłowiańskiej misji: w Polsce kapral jest odpowiedzialny co najwyżej za wyczyszczenie kibla. Tutaj decyduje często przez wiele samotnych tygodni o losie strategicznego posterunku. Sztab nie jest w stanie kontrolować kompanii, kompania plutonu, a pluton drużyny na posterunku. A posterunków jest ponad 50. – Tu nie ma MON-u, nie ma koszar. Żeby żyć, muszę na własną rękę, opierając sprawę o bar, dogadywać się z miejscowymi Serbami – mówi oficer jednej z oddalonych kompanii. – Jak zaczyna być nerwowo, to ja załatwiam sztabowcom przyjazd do nas, a nie na odwrót. Zgoda znajomego Serba stojącego na szlabanie jest często więcej warta niż oficjalne pismo od jego dowódców.

Zarówno kadra, jak i żołnierze przyznają, że wzajemne stosunki są dużo lepsze niż w Polsce. W ekstremalnych warunkach jeden musi liczyć na drugiego. Misja jest dobrowolna. Jeśli oficer przegnie pałę, żołnierz może zjechać do kraju. Zresztą wielu nie wytrzymuje stresów dnia codziennego wojny. Tylko od grudnia nie powróciło z urlopów ponad stu żołnierzy, cała kompania.

Przyjeżdżają tu przede wszystkim, żeby zarobić. Na mieszkanie, na samochód, na leczenie dziecka. Pytają, dlaczego żołnierz dostaje 580 dolarów miesięcznie (wliczając w to 3 dolary dziennie dodatku wojennego – „trupnego” według określenia podpułkownika Olbrychta), skoro ONZ daje Polsce 980 dolarów na człowieka. Co się dzieje ze znikającymi pieniędzmi? Czesi zarabiają 900 dolarów.

Żołnierze Polbatu powtarzają sobie każdego dnia: – Pamiętaj, to nie twoja wojna, masz ją przeżyć.

Delegacja

Wiosną 1995 roku w polskim batalionie w Krajinie zginął żołnierz, kapral Piotr Moszyński. W pierwszej wersji: od kuli snajpera. Serbskiego albo chorwackiego, bo Polbat znajdował się między pozycjami dwóch armii, a nawet trzech, ponieważ za plecami miał jeszcze wojska muzułmańskie. Potem ze strony Ministerstwa Obrony Narodowej pojawiły się informacje, że to był nieszczęśliwy wypadek, ale w dosyć kuriozalnej wersji: rzekomo dwóch żołnierzy nożem otwierało puszkę czy butelkę, jednemu nóż się omsknął i dźgnął w udo, samego siebie albo tego drugiego. Wojsko, jak to wojsko, nie było skłonne do zasypywania dziennikarzy informacjami. Pozostawały spekulacje, co też w zasadzie dzieje się w tym batalionie działającym w warunkach frontowych, bo nigdy za wiele przypominania, że internetu w dzisiejszym rozumieniu nie było, żołnierze, ani ich koledzy czy bracia blogów nie prowadzili, meili nie ślali, więc nie było co wklejać na Facebooka. W sumie jak w marzeniach Kononowicza, nie było niczego.

Na kolegium, na którym dyskutowano o sprawie, Jerzy Baczyński, naczelny „Polityki”, spytał, czy Meller by się nie przejechał na wojenkę do polskich żołnierzy. Meller oczywiście by się przejechał i zaraz zaczął sprawdzać, jak też może do nich się dostać. No i zaczęły się schody.

Polbat stacjonował jako część sił Organizacji Narodów Zjednoczonych na terytorium formalnie chorwackim, zajmowanym przez

Serbów, którzy to Serbowie urządzili swoją Republikę Serbskiej Krajiny, której oczywiście nikt nie uznawał poza Serbią właściwą, zwaną jeszcze wówczas Jugosławią, ale do jej ambasady nie miałem się po co zwracać, bo przecież nie mają nic wspólnego z Krajina, a skąd. Zresztą na logikę wydawało się, że najłatwiej pójdzie przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Logika bywa zgubnym doradcą.

Okazało się, że muszę napisać podanie o rozmiarach zbliżonych do *Pana Tadeusza* do MON-u, MON je przekaże do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, MSZ do Nowego Jorku do Organizacji Narodów Zjednoczonych, ONZ do swego przedstawicielstwa w Zagrzebiu, Przedstawicielstwo z Zagrzebia do swego oddziału w Kninie, stolicy Republiki Serbskiej Krajiny, oddział w Kninie do dowództwa Polskiego Batalionu w Slunju. Gdzieś tam po drodze podanie jeszcze musiało przeskakiwać między cywilami i mundurowymi, no i jeżeli dowództwo w Slunju byłoby tak miłe, że chciałoby pozwolić reporterowi Mellerowi na dostanie się do Republiki Serbskiej Krajiny, to już w zasadzie czysta formalność: zgoda posłaby ze Slunja do Knina, z Knina do Zagrzebia, z Zagrzebia do Nowego Jorku (pamiętajmy o przeskakiwaniu między wojskiem i cywilami), z Nowego Jorku do Warszawy do MSZ, z MSZ do MON i z MON już tylko telefon, nie, telefon byłby za prosty, pewnie jakiś faks do redakcji „Polityki”, że rzeczony Meller może sobie wpaść do Slunja.

Napisałem to podanie, złożyłem w MON-ie, czekałem, wydzwaniałem z pytaniami, czy coś wiadomo, aż mnie mieli coraz bardziej dość i pogrążałem się we frustracji, która osiągnęła poziom krytyczny, gdy ileś dni później Baczyński zaczął mnie na korytarzu: – To ty jedziesz do tej Krajiny czy odpuszczamy?

No jakbym po pysku dostał. Całkiem słusznie i kompletnie nie za swoje grzechy. Niewiele się namyślając, wiedząc, że wóz albo przewóz i że za chwilę stracę szansę na wyjazd, odpowiedziałem, że wszystko załatwione i lecę pojutrze. „OK, powodzenia!” – odparł zadowolony naczelny, a ja się zastanawiałem, jak wybrnę z sytuacji,

w którą sam się właśnie wpędziłem. MON milczał, nie miałem więc żadnej możliwości dostania się do Krajiny z polskim wojskiem ani z żadnym innym, od strony Serbii było to w tamtych realiach niewykonalne. Pozostawało liczenie, no właśnie, ciekawe, na co liczyłem? Najwyraźniej po prostu znów, tak jak wiele razy w życiu, miałem nadzieję, że jakoś to będzie – bo jak ma nie być, skoro ma być?

Tu dygresja na pozór absurdalna, acz uzasadniona psychologicznie, co się za chwilę okaże. Cofnijmy się nieco w czasie. Był lipiec 1988 roku. Miałem 20 lat, oblałem najważniejszy egzamin po pierwszym roku, czyli historię starożytną u profesora Włodzimierza Lengauera, późniejszego prorektora uniwersytetu. Oblałem całkiem słusznie, bo przez poprzednie miesiące o wiele bardziej niż historia starożytna zajmowała mnie działalność w nielegalnym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów – kolportaż na uniwerku podziemnych wydawnictw, demonstracje, zadymy, narady w zadymionych pomieszczeniach, balangi, gdzie knucie mieszało się z bardzo wesołym życiem towarzyskim, krótko mówiąc wszystko to, co można by wzniosłe nazwać walką o wolną i demokratyczną Polską, a co przy okazji było fantastycznym czasem i doświadczeniem, jakie przydaje się raz w życiu, a niektórym nigdy.

Więc do egzaminu zabrałem się w ostatniej chwili i poległem z kretesem. U Lengauera błyskotliwością się nie nadrabiało, mogła być dodatkiem do porządnej porcji wiedzy, a tej mi zwyczajnie brakowało. Doszliśmy ledwie do Aleksandra Macedońskiego, Rzymu nawet nie tknęliśmy, kiedy pan profesor zasugerował powrót jesienią na poprawkę. Żarty się kończyły, gdybym zawałił drugi termin, czekała armia. Cóż było robić? Siedziałem w Warszawie, czasem na działce rodziców pod Pułtuskim i ryłem. Poza klasycznym przegłędem historii starożytnej, codziennie pięćdziesiąt stron z Biblii Tysiąclecia na pamięć, bo znane było zamiłowanie Lengauera do odpytywania z Pisma. Można było wówczas mnie budzić w środku nocy, Kohelet nie Kohelet, księgi profetyczne, dydaktyczne, Goliat,

Hiob, Pieśń nad Pieśniami, Jozue, Samuel, Ewangelisci, nie było świadka Jehowy, który by mnie przebił w znajomości Księgi.

A jednocześnie zjechał do mnie młody Francuz, syn znajomych taty z Paryża, którym miałem się zająć, doskonaląc swą kulawą francuszczyznę przyswajaną w Instytucie Francuskim. Ważniejsze było, że dzięki gościowi mogłem choć na chwilę oderwać się od książek i biblijnych rzezi. Któregoś dnia, pamiętam, że była piękna słoneczna pogoda, snuliśmy się po Starym Mieście i zaszliśmy do kawiarni Krokodyl na Rynku. Po schodach z nawrotem na pierwsze piętro.

Usiedliśmy i od razu zauważyłem dziewczynę parę stolików dalej. Wydała mi się zjawiskowa. Była z koleżanką. Co chwilę zezowałem na bok i widziałem, że dziewczyna też mi się przygląda, a nawet uśmiecha. Zupełnie nie byłem w stanie skoncentrować się na rozmowie z Francuzem, *passé composé*, czas przeszły złożony dokonany mylił mi się z *l'imparfait*, czasem przeszłym prostym niedokonanym i zastanawiałem się, jak zagadać, kiedy podejść, żeby za bardzo się nie zbłaźnić, zwłaszcza że miałem się produkować w obecności cholernej koleżanki. I wtedy, a wszystko działo się przez następne sekundy jak na zwolnionym filmie, dziewczyny podniosły się, piękna nieznajoma jeszcze przelotnie omiotła mnie wzrokiem, i wolno ruszyły ku wyjściu. Siedziałem jak sparaliżowany w swej młodzieńczej nieśmiałości, one zniknęły już w tunelu schodów, zgasilem szybko papierosa i rzuciłem do Francuza, że zaraz wracam.

Pobiegłem za nimi, ale już wyszły z kamienicy, a na Rynku tego dnia, o tej porze był dziki tłum. Pamiętam to niezwykle silne słońce atakujące oczy, gwar beztroskiego tłumu, w którym – po lewej, po prawej, przed sobą – próbowałem wypatrzeć dziewczynę. Rozpychając i potrącając przechodniów, pobiegłem Nowomiejską w stronę Barbakanu, zawróciłem i rzuciłem się Świętojańską w stronę placu Zamkowego. I jeszcze Celną w stronę Góry Gnojenj i Mostowej. Nic, ani śladu. Wróciłem spocony i wściekły do Krokodyla, Francuz patrzył na mnie jak na szaleńca, ale wyczuł, że lepiej się nie odzywać.